

Niech rad nierad szcznę, schudnę i szernię, jeśli to jakieś fiu bździu albo śmichy-chichy. Arcypoważna, a nie błaża to kwestia: wsłuchać się w chrzęszcące, dochodzące sponad wieków, szemrzenie wszędobylskiej polszczyzny, przyhołubić jej przetrudne zawitości ortograficzno-fleksyjno-składniowe, uchwycić czyhającego w jej leksyce zachodniosłowiańskiego odważnego i nieokietznanego ducha. To niemalże ponadludzkie wyzwanie, by zapaliwszy pochodnie, podtrzymując drzewce rozżarzonych żagwi historycznej ciekawości, oddać się żywiołowym dysputom zhardziałych ekstraspecjalistów, którzy o materii języka Praindoeuropejczyków, Prastłowian, Słowian i Polaków mogą mówić bezustannie, krusząc przy tym kopie w zażartej walce o chronologię nieopisanych jeszcze szczegółów procesów staro-cerkiewno-słowiańskich i wyjaśniając żądnym porządnej wiedzy użytkownikom polszczyzny skomplikowany charakter przekształceń spółgłoskowych.

Nie wolno dopuścić, by z lekka scudzoziemczali, zagorzali superprzeciwnicy bezskrzydłego, z ludnością tarzającego się na czczo w mocno już przetrzebionej trzcinie, chrząszcza ze Szczebrzeszyna sfrancuzieli i zangliczyli się do szczętu. Trzeba mieć ponadpółkilogramowy chitynowy pancerz słodkowodnej szczeżui spłaszczonej, odpowiedzialność schorzałej gżegżółki żółtonogiej, stępioną przenikliwość sfilistrzałego czterdziestoipółletniego pseudobadacza specjalizującego się w nicnierobieniu, by nieopatrzenie zrezygnować z dbałości o ortografię polską.

Nie zzymajmy się więc z powodu supertrudnej macierzystej pisowni. To nasza scheda, spuścizna poprzednich pokoleń.